

Piotr Andrejew - Andrean

TANGO ANAWA - ZABAWA W NIMOŻLIWE
Wspomnienie o Tomaszu Lengrenie

*Co jest możliwe, to możliwe
Co mnie się zdaje, to się zdaje,
Lecz Pani nie wie co ja czuję,
Gdy śpiewam Tango Anawa.*

(Marek Grechuta, 1967r.)

Był jesienny deszczowy wieczór i w warszawskiej kawiarni „Świtezianka” aż kłębiło się przy bufecie. Ktoś kogoś potracił, alkohol rozlał się na ubranie a pijany, agresywny mężczyzna upierał się, by w bójce rozwiązać nieporozumienie. Tomek skierował się z nim ku wejściu i kiedy przy drzwiach kawiarni mężczyzna zaczął kręcić pięściami młynka w powietrzu, Tomek - świeżo po zgrupowaniu kadry boksterskiej w Zakopanem - krótko i mocno uderzył mężczyznę w splot słoneczny. Mężczyzna złamał się w pół. Grupa przyjaciół weszła właśnie do kawiarni, a Tomek biorąc pochylenie się pijaka za jego głęboki ukłon, grzecznie poznał go z nowoprzybyłymi: *-Łaskawy pan pozwoli - panna Krysia, Halinka i pan Zbyszek. Przepraszam - kogo mam przedstawić?*

Przy stole Tomek nie usiedziałyby bez żartu, prowokacji, wygłupu. Idę dziś - powiada - ulicą, mróz taki, że ślisko, chodniki oblodzone - widzę: staruszek idzie, poślizgnął się i przewrócił. Podnoszę go szybko za kołnierz, potrząsam nim mocno i mówię: *-Co ty staruchu, chodnik będziesz tu wyślizgiwał, żeby potem chłopczyk z tornistrem do szkoły szedł i dziecko nóżkę sobie złamie?! Rzuciłem staruchem w kierunku bloków: -Dalej jazda, w domu przy kaloryferze siedzieć, a nie chodniki tu wyślizgiwać!*

Z gębą jak Jean Gabin, albo co najmniej Burt Lancaster, wielki i zwalisty, Tomek Lengren był wszechstronnie utalentowany, a że był przy tym obdarzony niezwykle wprost energią, wyglądało na to, że wiele dokona. Od najmłodszych lat grał w filmach starszych kolegów - Munka, Wajdy i Kieślowskiego, by wymienić tylko klasyków. Jako aktor miał niezwykle poczucie czasu i rytmu sceny, to co Amerykanie nazywają *timing*. Wiedział też, co naturalne, co prawdziwe. Grał w KLINCZU młodego chłopaka, mimo, że miał już prawie trzydziestkę, ale wybrałem Tomka, bo był facetem z życia, a nie z filmu.

Jako aktora poznałem go wcześniej, robiąc krótki film AKTOR, o którym początkujący wtedy krytyk Tadzik Sobolewski napisał, że jest to polemika z „Odą do młodości” i o którego wznowienie na próżno proszę nieprzemakalną telewizję Kino Polska. Podobno mają ramówkę na trzy lata do przodu i nie są już w stanie nic zmienić. Tomek gra w AKTORZE żołnierza na przepustce, który odwiedza kolegę aktora w teatrze. Ten krótki film kończy się słowami: -*Grać można wszędzie, teatr jest wszędzie*. Niewielu aktorów ma taki nadmiar energii, by móc je prawdziwie wypowiedzieć.

Swego aktorstwa nie cenił. Chciał pisać i reżyserować. Jego pomysły krążyły wśród kolegów, nawet nie wiem, które były całkowicie własne, a które inspirowane tekstem kogoś innego. Oto etiuda studencka, która nigdy nie powstała - DELEGAT. Mężczyzna w delegacji nie może na skutek jakiejś pomyłki dostać wieczorem pokoju w hotelu. W Łodzi była to częsta sytuacja. Filmowcom dawała schronienie w pokoju gościnnym Muzeum Włókiennictwa jego dyrektor - mama świetnych reżyserów, braci Kondratiuków. Nasz delegat jest jednak szeregowym urzędnikiem z teczką i nie ma takich kontaktów.

Jest noc i mężczyzna w delegacji znajduje się na ulicy. Pomaga mu lokalny Sancho Pansa - jest alkohol i dziewczęta, a potem wygodny nocleg w luksusowym samochodzie, na parkingu strzeżonym, w centrum miasta. Rano, lokalny człowieczek prowadzi naszego bohatera do toalety w hollu nowoczesnego hotelu, gdzie można się wymyć i ogolić. Jeszcze ciepłe smaczne śniadanie w barze mlecznym na Piotrkowskiej, gdzie widziałem kiedyś jak mistrz Europy w wadze ciężkiej, Andrzej Biegalski kupuje jedzenie nieznanemu nędzarczowi i oto nasz delegat podaje na swój bardzo ważny ogólnokrajowy zjazd. Gdy w wielkiej auli, witany brawami oklasków śmiało wkracza na scenę i zabiera głos za mównicą, gdzieś na samym końcu sali, stoi wciśnięty pod ścianą Sancho Pansa.

Teraz, kiedy piękni dwudziestolenni mają już sześćdziesiątkę, przychodzi ich docenienie. Długie, niezbyt mądre wywiady w gazetach zastąpić mają dzieła, które nigdy nie powstały - nienakręcone filmy, pasjonujące powieści, które jakby zapadły się pod dno szuflady, wielkie dramaty na miarę romantyzmu, strofy wierszy, które powinny powracać do nas codziennie, ale nigdy nie zostały zapisane.

Bo wszyscy byli kiedyś młodzi, świetnie wykształceni - dwa fakultety to był w moim pokoleniu standard - czytani, wygadani, otrząskani po świecie - Paryż, Londyn, Bruksela, odwiedziny u kolegów, których właśnie wygoniono do Szwecji. A jednak pomimo tej całej edukacji, znajomości języków i świata, w zetknięciu z tymi, co szli przed nami i mogli decydować o tym, co będzie robione, wszyscy ujawniali swe ograniczenia, niezdolność do wielkiego zamiaru. No, a jeśli się już ktoś tak strasznie zamierzył na coś naprawdę nowego, kilka sprawnych pociągnięć administratorów kina i telewizji pokazywało naiwność takich ambicji i prostą niemożność ich realizacji.

Nie, żebyśmy nie próbowali. Pierwsze ograniczenie następowało już w fazie pomysłu. Były to lata niezwykłego sukcesu SZCZEK Spielberga i naszą sytuację trafnie określił Filip Bajon: *Wyobraźcie sobie, że zanim powstały SZCZEKI, mówię do jednego z tych urzędników - mam taki pomysł: na Bałtyk zabłąkał się rekin, atakuje kąpiących się w tłocznej, nadmorskiej miejscowości - Sopocie czy Międzyzdrojach. Byłbym wyśmiany.*

Teksty zostały jednak napisane, powielone, spięte razem i złożone. Czasami mijały trzy, cztery miesiące, zanim pan redaktor przeczytał. A to chory, a to wyjechał w podróż służbową, a to na festiwalu. Czasami bardzo ważny zjazd, czasami nie dająca się przemilczeć wielka rocznica. Przymrużone oko, że są przeciw, są do tego zmuszeni, ale tekst pozostaje nie przeczytany. Kiedy wreszcie pan redaktor jest po lekturze, kłopoty z umówieniem się - miesiąc, dwa. Już mamy się spotkać, ale został wezwany do ministra, nagle zachorował, przyjechała delegacja z Bułgarii. Potem poufna prośba o zmianę, poprawkę, bo tekst jest zdaniem całej redakcji słaby, wręcz rozczarowuje. Na przykład: bohater scenariusza pije - zwalczamy alkoholizm, nie może pić. Przecież każdy inteligentny człowiek to wie, każdy pisarz czy scenarzysta: pijaków się nie pokazuje. Trzeba wymyślić coś innego, co by charakteryzowało bohatera. Nieuleczalną chorobę, kalectwo, obłąd. Oczyszczony z alkoholu tekst czeka na akceptację - miesiąc, dwa, pół roku, rok, nawet dłużej. Jak ostatecznie jest akceptacja - niema skierowania do produkcji, bo brak jest pieniędzy. Przecież nawet dziecko rozumie, że filmu nie robi się bez pieniędzy. Produkcja miernoty idzie obok pełną parą, urzędnik nie boi się miernoty, miernota nikomu nie zagraża. W końcu, po jakimś czasie, czasami całe lata po zatwierdzeniu tekstu, pozwolenie na realizację. Przed zdjęciami, jeszcze poufny sygnał od pani

dyrektor: *-Wie pan, tak między nami: z tym alkoholizmem, zwalczamy go - więc można go pokazywać. A jednak z gotowego filmu moment, w którym bohater jest tak pijany, że przewraca się pod stół prezydialny, zostaje usunięty jako jeden z pierwszych. Wszystko to przekłada się na lata życia, głędzenia, kołatania do biur i redakcji. I tak powstały filmy bez rozmachu, drapieżności, tempa - obrazy wymęczone i obolałe.*

Tomek Lengren był już poważnie chory na ostateczną w swoim wymiarze chorobę, która go wyniszczała i osłabiała. Kiedy straszliwie schudł, wywoływało to prostą reakcję otoczenia - to lepiej, przecież zawsze miał tendencję do tycia. I potem, nagle, Tomka już naprawdę niema, jakby był sam sobie winien, że przegrał z rakiem. Bo ludzie żywi traktują tych, co umierają z zimną obojętnością, zniecierpliwieniem niemal. Jakby to, że ktoś umiera, było aktem wyboru a ci, co od nas odchodzą, mogli postąpić inaczej. Jakby było oczywiste, że śmierć nie wszystkich spotka - w każdym razie nie tych sprytniejszych, lepiej ustawionych. No cóż, ten Lengren - rzecz oczywista: zawiódł. Bo Tomek był jedną z postaci pokolenia, które się nie spełniło, pokolenia niezaprzeczalnych prawdziwych talentów, które pozostały tylko wielkimi talentami, a obdarzeni nimi ludzie stworzyli rzeczy zaledwie dobre. Należał do pokolenia, które nie stworzyło arcydzieł. Bo Tomek wyreżyserował wiele dobrych filmów, zagrał wiele ciekawych ról, a jednak się nie spełnił.

A teraz Tomka już niema. Nie zagra wielkiej roli, na miarę Jean Gabin w LUDZIACH ZA MGŁĄ czy Burt Lancastera w PTASZNIKU Z ALCATRAZ. Nie spotkamy go już w bufecie czy kawiarni, nie będzie nam perorował przepełniony pomysłami, z których i tak zostaną wybrane najgorsze. Tomek Lengren już nie zażartuje, nie wygłupi się, nie zaskoczy. Towarzystwo

nadętych, tępych urzędników nie zostanie raz jeszcze poruszone, obrażone, wyśmiane.

Pamiętam jak jeden z sympatyczniejszych redaktorów warszawskiej TVP powiedział mi wprost: *-Mógłbym odp... się panu powiedzieć, a grzecznie z panem rozmawiam.* Dla Tomka już nawet na to: *-Odpierd... się!* jest już za późno. Bo Tomka już niema.

AKTOR, wystąpili: Mieczysław Hryniewicz, Tomek Lengren i Daniel Olbrychski (recytacja „Ody do młodości” A.Mickiewicza); scenariusz i reżyseria: Piotr Andrejew, zdjęcia: Zbigniew Wichłacz, muzyka: Lech Brański, kierownik produkcji: Andrzej Traczykowski. Produkcja: Wytwórnia Filmów Oświatowych, Łódź 1977

KLINCZ, w rolach głównych: Tomek Lengren, Bolesław Smela, Alfred Kopysiewicz; scenariusz: Filip Bajon i Piotr Andrejew, reżyseria: Piotr Andrejew, zdjęcia: Jacek Mierosławski i Zbigniew Wichłacz, muzyka: Lech Brański, kierownik produkcji: Jerzy Herman. Produkcja: Zespół Filmowy „KADR”, Warszawa 1979